

---

Jeep straży granicznej stał zaparkowany na poboczu, niespełna cztery kilometry od Wołosatego. Kogut na dachu błyskał ciemnoniebieskim światłem, kawałek dalej znajdował się pomarańczowy znak ostrzegawczy. Był też drugi samochód: biała Škoda Felicia, czyli słynna „te-jedynka<sup>3</sup>”, którą poruszał się sędzia główny wyścigu. W przydrożnym rowie krzątało się dwóch pograniczników. Wyraźnie czegoś szukali. Trzeci z mundurowych zajęty był rozmową z sędzią. Komandor zatrzymał swój pojazd i wyszedł na zewnątrz mrużąc zmęczone oczy. Po chwili dowiedział się, że nad ranem pogranicznicy natknęli się na leżący na asfalcie rower. Czerwona szosówka marki Trek. Na ramie naklejka z numerem dzieła święta. Dokładnie tym, z którym startował Waclaw Strzelecki.

– Jest i nasza zguba – skomentował komandor. – Lub przynajmniej coś, co do niej należało – dodał nieco ciszej, napotkawszy surowy wzrok jednego ze strażników granicznych.

---

Dwa dni po zaginięciu Strzelecki już nie żył. Przynajmniej tak zawiadomiły media, które niemal natychmiast zainteresowały się sprawą. Istotną rolę odegrało amatorskie wideo, nagrane przez przypadkowego turystę. Filmik prezentował stojącego tyłem mężczyznę w szarym mundurze, który zabezpieczał leżący na jezdni rower. W tle widoczny był szary Jeep z otwartym bagażnikiem, z którego wystawało coś przypominającego czarną folię. Choć nagranie było krótkie i jakościowo pozostawiało wiele do życzenia, wystarczyło do wydania osądu: to rower uczestnika Bałtyk-Bieszczady Tour, natomiast na pace leży denat.

---

<sup>3</sup> Podczas większości wyścigów, samochody wspierające kolarzy znakowane są jako: T-1, T-2, T-3, itd. W Bałtyk-Bieszczady Tour autem T-1 porusza się zazwyczaj główny organizator lub sędzia.

Choć werdykt zapadł, wrzawa wokół sprawy nie przycichła. Wręcz przeciwnie. Tysiące osób nagle poczuło się ekspertami kolarstwa: „Nie potraficie zabezpieczyć trasy!”, „Gdzie samochód, którym powinien jechać za każdym zawodnikiem?”, „Powinni was zamknąć, a zawody zdelegalizować!”. Nerwowo zareagowali również sami zawodnicy. Niektórzy mieli pretensje o wyznaczenie mety w tak odległym od cywilizacji miejscu. Cześć narzekała na działanie trackerów, które co chwilę się psuły i – jak widać na przykładzie Strzeleckiego – nie były w stanie zapewnić kolarzom należytego bezpieczeństwa. Jeszcze inni stanowczo twierdzili, że już nigdy nie wystartują w zawodach, w których giną ludzie. O dziwo, najrozsądniej zachowywała się rodzina zawodnika. Wszelkie pytania wścibskich dziennikarzy ucinali krótkim „bez komentarza”.

Deficyt oficjalnych informacji i wyjaśnień tylko zachęcał do tworzenia kolejnych niestworzonych teorii. Zdaniem niektórych Strzeleckiego miał śmiertelnie potrącić i uciec z miejsca zdarzenia jeden z wysoko postawionych pracowników parku narodowego, spokrewniony z członkiem rządu. Sugerowano też, że kolarz mógł zgubić drogę i utopić się w lokalnym bagnie. Za dowód miały służyć relacje świadków, którzy widzieli strażników granicznych przeczesujących ten teren. Po co jednak Strzelecki miał chodzić po grzędzawisku, kiedy przed nim rozciągała się prosta, asfaltowa droga? Tego nie wyjaśniono. Kolarz miał być też rzekomym świadkiem koronnym, a całe zaginięcie dobrze ukartowaną akcją służb specjalnych. Wśród hipotez wymieniono również atak niedźwiedzia, samobójstwo, a nawet ingerencję UFO.

Kiedy w mediach ukazywały się coraz to dziwniejsze teorie, sanocka dochodzeniówka dopiero zapoznawała się ze sprawą. Sprawą, która jak się później okazało, była jedną z najbardziej zagmatwanych i zadziwiających ze wszystkich zgromadzonych w tutejszych kronikach.